Ner 37. Kraków 18 grudnia 1869. Rok IV.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel dreздeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.
Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Dwa epizody z życia Heinego

streścił i uwagami krytycznemi objaśnił

LUCYAN TOMASZ RYCHARSKI.

(Ciąg dalszy).

Jedném z najwięcéj zajmujących opowiadań Gérarda było następujące:

— Z Henrykiem Heinem poznajomiła mnie i pociągnęła do niego wesołość jego towarzyska; dowcipem swym i szyderstwem stał się moim nieodzownym, koniecznym towarzyszem; nawet samolubstwo jego zadawalniało mnie. Jestem bowiem człowiekiem dwojakiéj natury: jedna ma serce rozmarzone, tkliwe, że tak powiem załzawione, druga lubi światu najdziwaczniejsze stroić figle i psoty; — nieszczęście to, mój przyjacielu, jeżeli przeszłość zniszczy harmonję naszéj duszy. Z Heinem śmiać się i szydzić, z nim kilka godzin spędzić w duchowém towarzystwie— to mnie odurzało, a nawet pewną ulgę sprawiało, kiedym musiał z óczu moich odpierać napływ pieniącego się uczucia, jeśli takowe zbyt wezbrało. Objawia bowiem ludziom oblicze, na którém rozlane uczucie wzbudza śmiech jedynie. To początkowo li dla towarzyskiéj rozrywki pielęgnowanie i obcowanie z Heinem, pozwalało mi tymczasem głębiéj zbadać jego charakter; zauważyłem wkrótce, że *poeta* marzył, kiedy *człowiek* dowcipkował; że się zaś dowcipy te innym li tylko podobać miały, nie nęciło to bynajmniéj ani łechtało humoru Heinego; jemu chodziło tylko o to, aby samego siebie rozerwać, i to w dwojaki sposób: marzeniem swego serca i słowem swego ducha. Co ja nieraz dawniéj przeczuwałem, to mi poeta wyznawał sam późniéj, kiedy mnie bliżéj poznał. Obydwaj cierpieliśmy na jednę chorobę?

— A choroba ta? zapytałem.

— Śmieszna choroba, przyjacielu; obydwaj śpiewaliśmy beznadziejność młodzieńczéj miłości jako umarłą; śpiewamy dzisiaj jeszcze, a jednak nie umiera. Kochałem już, będąc jeszcze dzieckiem, Adrjannę, i musiałem doznać téj boleści, iż ją znalazłem śpiewaczką za kulisami teatralnemi; tém zniszczyła ona piękne marzenia méj młodości. Heinego ten sam los spotkał, co cię może zadziwia, i o czém zapewne wątpisz. Ale beznadziejna miłość drzemie wciąż jeszcze w jego sercu; skoro ją sobie wspomni, może jeszcze płakać, lub też rozgniata te łzy z gniewu. Heine sam przedemną wyznał, iż kiedy stracił raj swéj miłości, miłość została w nim jeszcze tylko jako rzemiosło.

Opowiadania te Gérarda o takiéj świętéj i bolesnéj miłości Heinego znajdujemy późniéj więcéj jeszcze rozszerzone i wyjaśnione w „Londyńskim niemieckim dzienniku." Według tego, kuzynka jego Ewelina van Geldern była jego ideałem i przedmiotem téj skłonności, która najpiękniejsze i najdelikatniejsze wydała kwiaty Heinowskiéj liryki. Ewelina „mit dem Engelköpfchen auf Rheinweingoldgrund" była zmienna i kapryśna z swemi uczuciami, i wkońcu ulegając zapewne życzeniom swych rodziców, oddała rękę bogatemu bankierowi, „dem dürren Philister." W skutek ogromnego cierpienia w téj zawiedzionéj miłości, Heine napoił się żółciową goryczą do świętości takich czystych uczuć; i nieraz zapewne westchnął on w głębi swego ducha, kiedy miłość robił przedmiotem swéj ironii i szyderstw. Przypuścić można przynajmniéj, że wmówił on w siebie jakieś prawo płacenia hołdu egoizmowi, a szydzenia z świętości uczuć, w których los tak okrutnie go oszukał.

Gérardowi, którego tłumaczenie „Fausta" uważane jest dzisiaj jeszcze za najlepsze we Francji, i o którém sam Goethe w rozmowie z Eckermannem najpochlebniéj się wyrażał, dawał Heine wszystkie swoje we francuzkich przeglądach drukowane utwory do tłumaczenia; niektóre sam po francuzku pisał, ale nigdy ich wpierw nie publikował, dopóki Gérard ich nie skorregował. „Dwaj grenadjerowie," „Sosna i palma", „Pielgrzymka do Kewlaaru" i „Wypędzeni bogowie," częścią w Revue des deux Mondes lub też w innych czasopismach drukowane, przybrane były przez tłumacza „Fausta" w szatę francuzkiéj mowy. Czytał on pisma Heinego z łatwością i przekładał poemata jego z nadzwyczajną szybkością; rzadko zaś Heine coś szczególnego w przekładach tych poprawił. Naturalnie Gérard czynił to jedynie z przyjacielskiéj usługi, nie przyjmując od Heinego żadnego wynagrodzenia.

Kiedy Heine zachorował i przyszedł do tego przeko-

nania, że już nie ujrzy ani dotknie świata zewnętrznego, wysilał całą swoją energję na to, aby sobie zapewnić pierwszorzędne stanowisko między poetami Francji. Ambicja jego, którą nieraz śmiało wypowiadał, dążyła do tego, aby we Francji jak i w Niemczech być równie wielkim poetą. Z tego powodu w ostatnich latach większa część jego nowych utworów ukazywała się w francuzkim języku.

Heine kiedy był jeszcze zdrowy, marzył wciąż o tém, aby obok sławy jako liryka zbierać jeszcze laury w dziedzinie dramaturgji. Ambicja ta, jak opowiada Gérard de Nerval, tak go długo trapiła i nękała, aż wreszcie dał swemu przyjacielowi rękopism z komedją, i prosił go, by mu kilka przez niego po niemiecku napisanych scen na francuzkie przełożył. Wkrótce potem Gérard oddał mu żądaną pracę.

Kiedy we dwa miesiące później spotkał poetę, zapytał go, czy komedja została przyjętą. Heine niechętnie wstrząsnął głową i powiedział, że się nieco obawia zaczepiać kulisy. Nikt, jak wiadomo, nie był tyle zazdrosnym o swą sławę, jak Heine; myśl sama, iż zamiar jego z poetycznym utworem mógłby spełznąć na niczem, i że pracę jego wprost sąd publiczności powita, napełniała go pewną trwogą.

Gérard doradził mu, aby swą komedję bezimiennie posłał do repertoaru teatralnego. Na to Heine oddał mu znów swój utwór i polecił, aby go wręczył dyrekcji *Odéonu*, lub *Théatre français*. W kilka tygodni potem Heine odwiedził swego przyjaciela. Pierwsze jego pytanie było, co się stało z komedją? Gérard milcząc wyjął ze stolika rękopism i oddał go autorowi, oświadczając, iż dyrekcja odmówiła przyjęcia. Heine tak się tem zraził i zniechęcił, iż nie wahając się chwili, wrzucił zeszyt do kominka.

— Mój Boże, cóż robisz? – zawołał Gérard zdumiony.

— Pozwól, niech się spali — odrzekł Heine; — gniewałoby mnie to, gdybym jeszcze musiał patrzeć na tę pracę. Zresztą, jeżeli ci się mam przyznać, jestem z tego zniszczenia komedji nawet zadowolony, gdyż w mych latach powinienem już raz zaniechać grać ze samym sobą *komedji*.

II.

Było to w czasie wielkiéj wystawy przemysłowéj, kiedym znów przybył do Paryża. Z przyjacielem jednym zwiedzałem *Père Lachaise* i grób Boernego. Dużo mówiliśmy o nim i o Henryku Heinem, a ja myślałem o Gérardzie de Nerval. Boerne umarł, Gérard nieszczęśliwy umarł; tylko Heine żył jeszcze — umierając.

Kiedyśmy opuścili miasto umarłych, wstąpiliśmy do jednego z tych mieszkań, gdzie lud się bawi przy szklance wina za sześć sous, wśród tańca rotundy. Orkiestra składała się z dętych instrumentów, grano właśnie melodję jakiegoś walca; w szalonym wirze unosili się tancerze i tancerki; kołysały się ciała, i ściśnięci obracali się weseli, chłopcy i puste dziewczęta według igrającego taktu melodji, wirowali dziwnie. Boerne umarł, a w jęczących głębokich tonach basowych puzonu, dźwięczącego pół wesoło, pół melancholijnie, zdawało mi się słyszeć westchnienia zagniewanego Boernego, jakiemi akompainował w takt igrającéj muzyce życia. Potem mimowoli pomyślałem o Heinem, który żył jeszcze. I znów zdawało mi się słyszeć w walcu śmiech i tęskne skargi umierającego niemieckiego Aristofanesa; zdawało mi się, jakoby się śmiał poeta *pieśni* i śpiewał kokieteryjną melodję walca, jakoby był kościotrupem,

das singt und siedelt dazu.

Dzisiaj i Heine już nie żyje; umarł jak Boerne, umarł jak Gérard; a walec życia brzmi i dźwięczy daléj; tańczą, igrają, kosztują i kołyszą się według starego taktu, – Heine, który zdawał się nie módz umrzeć, umarł już dzisiaj rzeczywiście!

Przez ośm lat uważali Niemcy Heinego za konającego; wierzyli w cud, iż widzą mały migający się płomyk cokolwiek ożywiający umarłe ciało; a kiedy się wkońcu ulotnił, wtenczas uczuli, iż Heine w istocie umarł. Skoro się uwolnił od litości losu, skoro duchowa czynność w ciele wyssała ostatnią iskierkę pożywienia, rozlała się po nim glorifikacja śmierci, gdyż wtenczas przywary człowieka zwykle się zmniejszają, a cnoty wychodzą na jaw; wcielone w charakter Heinego grzechy przebaczą mu chętnie współcześni, a jeszcze więcéj potomność: z człowiekiem skoro się w proch obróci, nie zwykliśmy się prawować.

Służyć ludzkości, jest obowiązkiem każdego; ludzkość zaś ma prawo i obowiązek notować te zasługi, skoro się skończyły. Heine, jako poeta i pisarz nie może być Heinem, jako człowiekiem; pierwszy żyje i żyć będzie, tylko drugi umarł.

W ostatnich jego latach podróżujący pisarze zwykli byli odwiedzać lazaret Heinego w Paryżu i jakby z obowiązku zdawać o tem sprawę niemieckiemu narodowi. Tym sposobem głosili, po całym świecie swą przyjaźń z gieniuszem, która ma zawsze w sobie coś interesującego, a która jednak nieraz wielkie im później sprawiała przykrości. Poszanowania nie znał Heine ani dla umarłych, ani dla żywych. Pocóż mamy przyjaciół, mówił on, jeżeli sobie z nich nawet zażartować nie można? — Byłoto właściwością Heinego, wypływającą z jego próżności, która go tak daleko unosiła, iż nie pojmował, jakimby sposobem przyjaciele śmieli przyjąć jego ciosy i szyderstwa z jakąkolwiek urazą. Wielu przeklinało później przyjaźń swoją z poetą, kiedy ta im tyle sprawiała cierpień; pożałowania godny chyba stan poety wstrzymywał ich od wszelkiego odwetu. Wielu zaś ubiegało się o przyjaźń niemieckiego Woltera, aby reflexją aureoli jego zyskać sobie pewien blask i doznać tego zaszczytu, że ich oplwał

przyjaciel Heine. — Wielu poeta téj grzeczności nawet nie wyświadczył — byli oni za mali dla jego poetycznych szyderstw.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZGUBA I SPÓŁCZUCIE.

Po nad drogą lipa wzrasta,
Droga w górę pnie się —
Piękne dziewczę wraca z miasta,
Próżny koszyk niesie.

Targ był dobry, i szczęśliwa
Będzie matka stara,
Bo za nabiał i warzywa
Dziewczę ma talara.

I grosiwo w takt jéj dzwoni
Do słodkich piosneczek,
Wtem wysunął jéj się z dłoni
Z pieniędzmi woreczek...

I spostrzegłszy swoją zgubę,
Łzami się zaleje:
— O marzenia moje lube!
O moje nadzieje!

Próżno wraca, próżno szuka,
Pieniądz padł jak w wodę,
A tu serce żalem stuka,
Płacze dziewczę młode.

Tam z jarmarku naród kroczy,
Pieszo, wozem, konno;
Ona zwraca wszystkich oczy
Swoją pracą płonną.

Spyta ten i ów niebogę
Czego szuka, śpieszy?
A objaśnion, rusza w drogę,
Mówiąc: Bóg pocieszy!

Kupiec w srogie wpadnie gniewy,
Gromko ją upomni:
— Wszak pieniądze, to nie plewy,
Chroń je więc przytomniéj.

Daléj panicz konie wstrzyma,
Skory na ratunek,
Trzy talary dać się ima
Lecz... za pocałunek...

Kłaniam panu uniżenie!
Nie dla mnie zapłata;
Ja mój uścisk więcéj cenię,
Niżli skarby świata.

Aż gdy przeszli w górę, wyżéj,
Tkliwi i nieczuli,
Do dziewczęcia się przybliży
Staruszek o kuli.

I bez głośnéj chwalby znaków,
Z spółczucia podniety,
Liczy kopę trzygroszniaków
Z skórzanéj kalety.

— Oto talar dla twéj matki,
Śpiesz się z nią weselić;
Jam rad, mogąc me dostatki
W ten sposób podzielić.

Niech cię broni Bóg od troski
I wiedzie najprościéj...
Dziś ja, piękna córo wioski,
Niechcę twéj wdzięczności.

Lecz gdy nowy krzyż niedługo
Ozdobi ten cmętarz,
Tam z wzajemną śpiesz usługą,
Jeśli zapamiętasz...

Edmund Znatowicz.

NIEPOCIESZONA WDOWA

CZYLI

PLANETA I SATELICI,

komedja w 4ch częściach, prozą

Z FRANCUZKIEGO PRZEZ MÉRY

PRZEŁOŻYŁA

Ludwika Sabowska.

(Ciąg dalszy).

SCENA SZÓSTA.

KAROLINA, PANI DE SAINT MARC.

KAROLINA. Pani już wstała! więc zegar pani spieszy o sześć godzin?

PANI DE SAINT-MARC. Nie, lecz mój sen spóźnia się o całą noc, Karolino, nie mogłam zmrużyć oka.

KAROLINA. Bo też to było czego! pożar jest w zamku.

PANI DE SAINT-MARC. I jak go stłumić?

KAROLINA. Pozwolić niech się wypali.

PANI DE SAINT-MARC. Ten lekkomyślny, ten dzieciak, ten kuzyn Hipolit śmiał oświadczyć mi się wczoraj!

KAROLINA. To pani wina, zostawia się kuzynów tam gdzie są.

PANI DE SAINT-MARC. A ten niedołęga pan Baralier, co znikł niepowiedziawszy mi ani słowa!

KAROLINA. Co do tego, pani, ja go biorę na siebie dla uczynienia zadość warunkom przyzwoitości.

PANI DE SAINT-MARC. Cóż z nim zrobisz?

Karolina. To co robi się z mężczyzną starym i bogatym, pójdę za niego.

Pani de Saint-Marc. Idziesz za pana Baralier?

Karolina. Chcesz mnie pani zastąpić? Sprzedam go pani.

Pani de Saint-Marc. Miesza ci się w głowie, doprawdy.

Karolina. Chce się pani założyć o sto tysięcy franków że pójdę jutro za niego?

Pani de Saint-Marc *(śmiejąc się)*. O sto tysięcy franków, cóż ty postawisz?

Karolina. Podobnież sto tysięcy franków, wszystkie moje wdowie oszczędności.

Pani de Saint-Marc. Przyjmuję zakład.

Karolina. Gdzież stawka pani?

Pani de Saint-Marc. A gdzież twoja?

Karolina *(otwierając pugilares)*. Oto jest! niech pani przeliczy, dwadzieścia biletów z czerwonemi literami.

Pani de Saint-Marc. Ah! mój Boże! i któż ci to dał?

Karolina. Kuzyn przybyły z Kalifornii, zresztą wytłumaczę to pani potém daleko lepiéj. Więc idzie zakład?

Pani de Saint-Marc. Doprawdy, cóż ryzykuję?

Karolina. Ah! mój Boże! nic; jeżeli pani przegra, zabiorę pani sto tysięcy franków, a jeżeli ja przegram, to pani moich nie weźmie.

Pani de Saint-Marc. Pod temi warunkami przyjmuję zakład.

Karolina. O! wierzę, że pani przyjmuje, bo tylko ja na tém stracić mogę.

Pani de Saint-Marc. Jakto?

Karolina. Bardzo naturalnie. Ponieważ idę za pana Baralier. Tracę moją *wdowią swobodę* i poświęcam się dla uczynienia zadość warunkom przyzwoitości. Mąż mój zostanie pani rządcą, będziemy miały w domu osobę poważną.

Pani de Saint-Marc. To prawda, że w twem małżeństwie wszystko jest korzystném dla mnie.

Karolina. Gra pani na rozgrywkę, przegrana jest dla pani wygraną.

Pani de Saint-Marc. Tak, wygrywam spokojność.

Karolina. Nie drożéj jak za sto tysięcy franków; za darmo prawie.

Pani de Saint-Marc. Tyś z prawdziwém poświęceniem, Karolino!

Karolina. Pani zasługuje ażeby pokojówka poświęciła się na wszystko, nawet na zamąż pójście dla pani dobra. Chciéj pani rozważyć na co wystawiam moją przyszłość; będę miała przed sobą młodą wdowę, wolną i wszechwładną panią swoich czynności, a sama biedna niewolnica, będę miała nad sobą barbarzyńcę, króla despotę, Nerona w paltocie, mężczyznę jedném słowem, to dosyć! mężczyznę! co z natury jest wrogiem kobiety, pysznego władcę, który wynalazł nienawiść tegoż samego dnia kiedy kobieta wynalazła miłość! Przyznaj pani, że nie można być z większém poświęceniem jak ja jestem.

Pani de Saint-Marc. Przyznaję ci to tyle razy ile zechcesz; jest jeszcze cnota na tym świecie.

Karolina. W tym zamku, daléj nie radzę pani się zapuszczać! byłoby to błędem jeograficznym.

Pani de Saint-Marc. A jednak jesteśmy tak czernione w tym zamku!

Karolina. Dodajmy do tego, że moje zamążpójście będzie ciosem śmiertelnym dla panien Desbuissons.

Pani de Saint-Marc. Daj Boże!

Karolina. Nie przeżyją tego! Najstarsza z nich umizgała się do pana Baralier przez czterdzieści lat; deklamowała mu tyrady z *Fedry* pod wszystkiemi drzewami parku, dopóki jéj głosu starczyło.

Pani de Saint-Marc. Nakoniec dzięki tobie, Karolino, spokój przywrocony! *(Słychać dwa wystrzały. Chwila przerażenia)*. To nie w lesie wystrzelono! huk był w stronie stawu.

Krrolina. Nie przestraszaj się pani, wié pani dobrze, że ci którzy panią obchodzą nie zabijają się w tamtéj stronie bronią palną.

Pani de Saint-Marc. Nikt mnie nie obchodzi, Karolino.

Karolina. Zapozwoleniem, pani; nie mam zwyczaju się mylić, a od dziś niechciałabym się przyzwyczajać.

Pani de Saint-Marc. Sądzisz że myślę o tym niedoszłym samobójcy panu Leonie d'O . . . d'Or . . . d'Or . . .

Karolina. O pani, tych tylko nazwisk się zapomina, które się zbyt często przypominają.

Pani de Saint-Marc. Młody człowiek, którego widziałam tylko raz!

Karolina. Przed poznaniem widziałaś go pani sto razy; jest on bohaterem wszystkich romansów jakie pani czytasz.

Pani de Saint-Marc. Nie czytam ich już.

Karolina. Od czasu jak je pani wprowadziłaś w życie: od wczoraj.

Pani de Saint-Marc. Trzeba jednak wiedzieć co się tam stało . . . Te dwa wystrzały niepokoją mnie.

Karolina. Ktoś idzie, słyszę szelest sukni na schodach.

Pani de Saint-Marc. Zapewne przychodzą nas uwiadomić o jakim strasznym wypadku *(idzie ku wschodom w głębi, i cofa się widząc pannę Desbuissons)*.

SCENA SIÓDMA.

CIŻ SAMI, PANNA DESBUISSONS, LEMIGNARD.

Panna Desbuissons *(wsparta na ramieniu pana Lemignard. Kłania się i opada na krzesło)*. Przebacz mi, droga sąsiadko . . . przebacz, że wchodząc nie kazałam oznajmić mego przyjścia . . . Padłam zemdlona w pani parku.

Lemignard. Padła w moje objęcia.

Karolina. Co za zgorszenie!

Panna Desbuissons. Powiedziałaś, że to zgorszenie?

Lemignard. Ona powiedziała co za zgor . . . ,

Pani de Saint-Marc. Nie zwracaj pani uwagi na to; przyjdź pani do siebie.

Panna Desbuissons. Nie byłabym miała siły powrócić do domu... nogi mi drżały... i, gdyby pan Lemignard



ZGUBA I SPÓŁCZUCIE

nie był mnie podtrzymał, byłabym upadła na trawę.

Karolina. Wspomnienie młodości!

Panna Desbuissons *(do Karoliny)*. Coś ty powiedziała?

Karolina. Nie chcę żebyś pani aż dwa razy słyszała.

Lemignard. Co ona powiedziała?

Pani de Saint-Marc. Karolino, jak będziesz sama, możesz robić uwagi komu zechcesz.

Lemignard. Słusznie!

Panna Desbuissons. Czytałam właśnie z panem Lemignard, jak to jest naszym codziennym zwyczajem *Krzewiciela oświaty*, nasz dziennik departamentalny, i oburzaliśmy się na artykuł niegodny, skierowany wprost przeciw jednéj z *naszych sąsiadek*, gdy dały się słyszeć dwa wystrzały z pistoletu nad brzegiem tego przeklętego stawu. „Jest to pojedynek! — powiedział mi zaraz pan Lemignard. — Pojedynek! zawołałam, i głosu mi zabrakło. Zaledwie mieliśmy dosyć siły ażeby przywlec się tutaj.

PANI DE SAINT-MARC. Czy był kto ranionym w téj walce?

LEMIGNARD. Ratując pannę Desbuissons, widziałem dwóch świadków jak wchodzili do leśniczego. Nikt nie był raniony; przeciwnie . . . szli na śniadanie.

PANNA DESBUISSONS. To tylko jest najsmutniejszem, że ten pojedynek ma widoczny związek z artykułem *Krzewiciela oświaty*.

KAROLINA. Cóż to za artykuł o którym pani robisz tyle hałasu?

PANNA DESBUISSONS *(do Karoliny)*. Czekam aż pani de Saint-Marc mnie zapyta.

KAROLINA. Właśnie pani de Saint-Marc jest tego ciekawą, bo milczy od czasu jak pani zaczęłaś mówić o swoim dzienniku.

PANI DE SAINT-MARC. To prawda.

PANNA DESBUISSONS. Chciałam go podrzeć w przystępie oburzenia; ale pan Lemignard przeszkodził mi . . . Zresztą trzeba pogardzać oszczerstwem, i . . .

PANI DE SAINT-MARC *(żywo)*. Lecz, chciéj mi pani wytłumaczyć o co w nim idzie, nie wyczerpując reszty mojéj cierpliwości.

PANNA DESBUISSONS. Panie Lemignard, bądź tak dobrym przeczytać nam artykuł, który nas tak oburzył.

KAROLINA. Szlachetna dusza!

LEMIGNARD *(wyjmując z kieszeni dziennik)*. Trzeba przyznać, że są ludzie bardzo . . .

PANI DE SAINT-MARC. Prędko, na Boga!

LEMIGNARD *(czytając)*. „Feljeton . . .“ A to jest feljeton . . . „Kronika departamentalna . . .“ „Lola Montez . . .“ to nie to . . . „Na ostatnim balu w Chateau Rouge . . .“ Ah! otóż to . . . „Pewna młoda wdowa, pani de Saint . . . trzy gwiazdki . . .“

PANNA DESBUISSONS. Lecz to przezroczyste jak gaza . . .

PANI DE SAINT-MARC. Czytaj-że pan daléj!

LEMIGNARD *(czytając)*. „Pani de Saint . . . trzy gwiazdki prowadzi swój dwór, otwarty hołdom wielbicieli, w jednym z niedalekich zamków, na sposób królowéj Blanki, która podobnież odbierała hołdy w posiadłościach Montargis. Do téj chwili nic nie zakłóciło spokoju, w jakim piękna pani zamku prowadziła daléj, przy pomocy młodych współpracowników, swój romans, nie na papierze, lecz w życiu; wczoraj przecież pewien piękny młodzieniec, w przystępie zazdrości rzucił się do stawu w jéj parku . . . nie głębiéj jednak, jak tyle, ile potrzeba było, aby z tryumfem wrócić do pałacu pani de Saint-M . . .

PANI DE SAINT-MARC *(wyrywając dziennik i drąc go)*. Dosyć już panie!

LEMIGNARD. Ah! mój Boże! pani defektujesz mój zbiór!

PANI DE SAINT-MARC. Zbiór oszczerstw!

PANNA DESBUISSONS. Widocznie, są to oszczerstwa . . . powtarzam to codzień . . . a nawet dziś jeszcze rano mówiłam to samo sąsiadkom, które twierdziły że widziały młodego mężczyznę kończącego się ubierać na tym balkonie.

PANI DE SAINT-MARC. Nigdy mężczyzna nie wchodzi tutaj! nigdy. *(Słychać potrójny wybuch śmiechu)*.

SCENA ÓSMA

CIŻ SAMI, LEON D'ORVIGNY, HIPOLIT, BARALIER *(w głębi; wszyscy trzéj po śniadaniu bardzo weseli i podchmieleni)*.

PANI DE SAINT-MARC. Karolino! jestem zniesławioną. Rozmów się z temi panami, ratuj mnie. *(Wychodzi)*.

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ SAMI, prócz pani de Saint-Marc.

HIPOLIT *(do panny Desbuissons)*. A, jakie szczęście że panią tu zastajemy, dasz nam pani niektóre objaśnienia co do dworu Ludwika XV.... Chciéj nam pani powiedzieć jakie było ubranie wielkiego łowczego z 1755 roku, wszak pani go widziałaś?

PANNA DESBUISSONS. Był ubrany jak zuchwalcy 1850 r.; przypatrz się pan sobie!

HIPOLIT. Ah! nieźle odcięte! widać żeś pani kształciła swój dowcip na salonach pani de Rambouillet w połowie XVII wieku.

PANNA DESBUISSONS. Jakież szkaradne towarzystwo bywa w tym zamku, Karolino!

LEMIGNARD. Na Boga! nie obrażaj pani tych ludzi!

PANNA DESBUISSONS. Jesteś pan tchórz . . . . Chodź pan, przejdźmy z wzniesioném czołem przed tymi napastnikami. Zobaczysz pan czy się ich boję!

HIPOLIT *(odprowadzając ją)*. Pani, jesteś pod naszą opieką, nie bój się niczego: szanujemy przeszłość, bo jesteśmy archeologami.

SCENA DZIESIĄTA.

CIŻ SAMI *(prócz Lemignarda i panny Desbuissons)*.

GABRJEL. Teraz połóżmy podstawę naszego traktatu pokoju. Panie Baralier przystępuj do rzeczy.

BARALIER *(z wesołością)*. W téj chwili. *(Biorąc Karolinę za rękę)*. Nie odchodź tak, pani, musimy się rozmówić.

KAROLINA. Zemną?

BARALIER. Oh! to nie trudno się domyślić.

KAROLINA. Przy świadkach?

BARALIER. Jest to nawet koniecznem... Ci panowie pojedynkowali się przed chwilą i chcieli rozpocząć na nowo. Poznawszy powód ich kłótni, przedstawiłem im że o taką bagatelę nie godzi się oblewać krwią mojego ślubu... A teraz radbym wiedzieć jaki skutek odniósł mój list?

KAROLINA. Jak list jest z oświadczynami, czyż można się złego skutku spodziewać? Dwa pugilaresy będą połączone.

BARALIER. A zatem, jestem przyjętym?

KAROLINA. Z okrzykiem radości!... ale bez żadnych udawań, czy pan przysięgasz zaślubić?

Baralier. Składam przysięgę w twoje ręce!

Hipolit. Jesteśmy świadkami przysięgi.

Karolina. Muszę oznajmić tę nowinę pani de Saint-Marc. *(Wychodzi)*.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Teatr. — („Makbet“ tragedja p. *Shakespeara*. — „Intryga i miłość“ tragedja p. *Schillera*).

Trudnem jest dzisiaj nasze zadanie. Dzieje najgwałtowniejszéj i najniebezpieczniejszéj z ludzkich namiętności jakie Shakespeare w obojgu Makbetah upostaciował, nie dają się komentować w ramach zwykłéj teatralnéj recenzji, mówiąc zaś o saméj tylko grze artystów bez powoływania się na odnośne ustępy, nie będziemy w stanie poruszyć wszystko to co za niezbędne prawie uważamy.

Makbet rozpoczyna jako bohater zwyciężający na polu sławy w imię prawa, a kończy jako ostatni zbrodniarz, co podeptał świętości boskich i ludzkich ustaw. Zanim jednak pierwszy upadek nieubłaganą drogą natury rzeczy doprowadził go do moralnego rozkładu, zanim słabe wahanie się stało się potęgą czynu zbrodni, a świadomość konieczności czynienia źle, przeszła jako część składowa w całą jego istotę, potrzeba było długiego procesu stopniowego trawienia się, który Shakespeare z nieporównanym wykonał mistrzowstwem.

Z tym doradcą Makbeta były nieumiarkowane podszepty ambicji i żona. Sławy, którą się okrył nowo mianowany Tann Cawdora, było mu za mało, podrażniona duma i silnie rozogniona ambicja, które S. w postaci czarownic uplastycznił, radziły mu sięgnąć do najwyższéj władzy. Żeby ją jednak osiągnąć, trzeba pozbyć się dobroczyńcy swego króla. Sam los oddaje go w ręce Makbeta, w którym dotąd jeszcze przeważa duch moralny nad zgubnemi podszeptami wewnętrznych zachceń. Następuje zacięta, tytaniczna niemal walka w piersiach Makbeta, którą żona, ów wyborny typ szatana, na korzyść ambicji rozstrzyga. Monolog i dwie sceny z żoną dają artyście możność walkę tę scharakteryzować. Potężna indywidualność rycerza epoki żelaznéj powinna tu w całéj sile być uwydatnioną. Surowy i dotąd jeszcze żadną niepokalany zbrodnią stacza Makbet zacięte walki z samym sobą i z przewrotnością żony. Głos jego nie może być *mansą* dobroduszności, ani też djabolicznym echem chytrości. Przy objekcyach robionych samemu sobie, idzie on *crescendo* aż do chaosu pomięszanych uczuć namiętnéj ambicji i niepewności co począć, daléj zaś w scenie z Lady Makbet słabieje on aż do chwili, kiedy zwalczony dyalektyką żony i rozstrzygającym zarzutem tchórzostwa idzie spełnić morderstwo na osobie śpiącego Dunkana.

W całym tym powyższym ustępie stanowisko Lady Makbet zupełnie innéj jest natury. O ile moralność silniéj wpływa na męża, o tyle reakcja jéj ujemna wzmaga się aż do heroizmu zła. Mąż ma spełnić czyn, lecz inicyatywa od niéj wychodzi, ona to ogrzewa grunt, na który czarownice ziarno rzuciły, ona to walczy całą potęgą subtelnéj przewrotności na jaką się tylko wykolejowany umysł niewieści zdobyć może.

Akcja jéj i głos zarówno jak i Makbeta falują bezustannie pośród natłoku ciągle zmieniających się sytuacji, różnica zaś pomiędzy niemi jest tylko ta, że Makbetem wstrząsa niepewność, brak decyzji, nią zaś piekielna stanowczość i niecierpliwość.

Położenie artystów w całym tym ustępie wielkiego dzieła, jest nad wyraz trudne. Najlżejsze sfałszowanie intonacji, przynosi ujmę doniosłości znaczenia wypowiedzianych myśli a nawet przekręca je; niedokładne zaś zaznaczenie lub co gorzéj nieuwzględnienie rzutów z uczucia w uczucie, karykaturuje najwznioślejsze, najbardziéj znaczące sytuacje.

Długie tylko ćwiczenie przy nadzwyczajnych zdolnościach artystów i umiejętnym kierunku są w stanie wymogom analizy zadość uczynić — nic więc dziwnego, jeżeli nasi artyści wymogom takim słabo tylko odpowiedzieć zdołali.

Powyżéj skreślone uwagi zechcą może artyści nasi sami do siebie zastosować, dodamy tylko, że p. *Hoffmann* (Lady Makbet) o grze muskułów twarzy pomyśleć nawet nie chciała, a ważna bardzo scena przejścia od czytania listu męża, który ją naprzemian podnieca do wewnętrznych spekulacji i zdumiewa, do usłyszenia wiadomości o przyjeździe króla nadzwyczaj niewyraziście była wykonaną. Wiadomość ta razi ją piorunem i zapala pierwszą myśl morderstwa Dunkana, którego los ślepy w jéj rzuca ręce. Wiadomość ta daje jéj wielki materjał do najświetniejszego popisu, lecz....

P. *Rapacki* (Makbet) upostaciował swego bohatera niedokładnie, a głos jego poruszając się w ostatecznościach stentora i niedosłyszalnego szeptu bez pośrodkowych modulacji, utrudniał bardzo jego zadanie. Największą jednak zrządziły krzywdę tak artystom jak i samemu utworowi aleksandryjskie rymy p. *A. E. Koźmiana*, o którego przekładzie powiedział swego czasu jeden z warszawskich krytyków: „*Shakespeare* z niczego zrobił Makbeta, a pan *Koźmian* z Makbeta zrobił *nic.*“

W następnych aktach położenie rzeczy zmienia się. — W pierwszym zaraz monologu po morderstwie Dunkana, z piersi Makbeta wyrywają się jęki furji zagnieżdżających się w jego sumieniu, a przekleństwo rozpaczy przemaga jeszcze nad maską spokoju, którą przed ludźmi dla własnego bezpieczeństwa nosić musi. Lady Makbet używa wszelkich sposobów na utrzymanie w mężu równowagi, lecz słowa jéj kłamią, bo pokrzywione linije wybladłéj twarzy i błędny wzrok świadczą, że i ona łamać się poczyna. Instynkt zachowawczy zmusza Makbeta do dalszych morderstw, i coraz to dzielniéj tępi w nim nasiona moralne, wyrzuty sumienia tępieją a wzmaga się dzikość, wewnętrzne wstrząśnienia uzewnętrzniają się w urągowiskach. Kazawszy zamordować Banqua wyprawia ucztę, lecz w chwili kiedy przed biesiadnikami wychwala jego cnoty i wyznaje swoją ku niemu przyjaźń, zjawia się u stołu jemu tylko widzialny cień Ban-

qua z 20 razami na głowie od sztyletu. Cień ten to ostatni głos sumienia Makbeta, głos straszny, bo pozbawiający go chwilowo nietylko równowagi w obec biesiadników, ale zmysłów nawet. Lecz to jest ostatnie tętno boskiego ducha w piersiach Makbeta, bo odtąd gra w nim tylko wyuzdana zuchwałość.

W pomieszaniu zmysłów umiera Lady Makbet, a on sam ginie z ręki „człowieka którego nie zrodziła kobieta."

Gra p. *Hoffmann* w dalszym ciągu była nieco lepszą, mianowicie scena obłąkania wypadłaby zupełnie dobrze, gdyby nie parę usterek akcji rąk, co zaś do p. *Rapackiego* to obok kilku scen wybornych, usadowiły się również wielkie błędy, a mianowicie w scenie Banqua, która oddaną była bez żadnego opracowania i ustępie przygotowywania się do ostatnich zapasów, który jako *criterium* ostatecznych rezultatów wewnętrznego rozkładu traktowanym był nijako.

Przedstawienie znanéj powszechnie z ujmująco-pięknéj treści tragedji *Fryderyka Szyllera* p. t. „Intryga i Miłość" daje nam sposobność ocukrzenia zarzutów jakie powyżéj z okazji „Makbeta" porobiliśmy.

Gra naszych artystów była tak wyborną jak nigdy jeszcze. Jakiś dobry duch przemieszkiwał tego wieczora na scenie, bo nietylko nasi pierwszorzędni, ale i osoby grywające role służących nic prawie nie zostawiły do życzenia, tak, że o drobnych detalicznych usterkach wspominać nie będziemy, ginęły one bowiem w przepysznym *Ensemblu.*

Nieumiemy oddawać imiennych pochwał podług stereotypowéj formułki, nie będziemy się zatem rozpływać w uwielbianiu mimiki Prezydenta *(p. Benda)* lub charakterystyki i akcji Warma *(p. Rapacki)*, a wspomnimy tylko, że mistrzowska gra p. *Rychtera* (Miller) do głębi duszy poruszała widzów, niektóre ustępy zaś wywoływały entuzjastyczne oklaski.

Obok szanownego gościa błyszczeli na pierwszym planie p. *Ładnowski* (Ferdynand), p. *Hoffmann* (Lady Milfort) i p. *Nowakowska* (Ludwika). Ta ostatnia w scenach takich jak pisanie listu i branie trucizny, owładnęła zupełnie słuchaczami.

P. Ładnowski był w swoim żywiole, to też publiczność co chwila obsypywała go dobrze zasłużonemi oklaski.

W chwili kiedy kończymy niniejsze sprawozdanie, dochodzi nas wiadomość, że Dyrekcja naszego teatru usunęła kilka osób, z których niektóre, pierwszorzędne zajmowały miejsce w personalu artystycznym. Jestto właściwie rzecz dotycząca przeważnie saméj Dyrekcji, niepodobna nam przecież zamilczeć, że ubytek obojga pp. *Nowakowskich* zrobi wielką lukę, niepowetowaną stratę, i obchodzi do tyla publiczność, że repertoar którego wzrost tylko skonstatowaliśmy — znowu upadnie. *O...le.*

---

a. δ. **Kronika**. — *Kłopoty noworoczne. Biedna Galicja musi czytać.— Teatr lwowski z p. Miłaszewskim szedł krzywą drogą.*

Doprawdy, ktoby na nas patrzał z boku, mógłby i miałby prawo sądzić, że literatura dla Galicji a Galicja dla literatury stworzona. — Dziesięciu kroków nie zrobisz, abyś się z jakim *prospektem*, *listem zwrotnym* lub *książką nową* a przynajmniéj *kalendarzem* nie spotkał. Prawdziwy kłopot i zesłanie boże na czytelnika, a raj zdawałoby się dla literatów! O płoche i zwodnicze nadzieje człecze! O najfałszywsza z najfałszywszych spekulacjo na rozum ludzki! — Bańki mydlane, nic więcéj.

Ale na biedę i upór ludzki nie ma podobno lekarstwa, każdy więc kto może pisze i drukuje — aby na nowy rok złapać czytelnika lub prenumeratora — a potem... ach o to mniejsza. — Od afiszera i lożerki teatralnéj, którzy sobie mózg suszą nad powinszowaniem dla świetnéj i przezacnéj publiczności, do kominiarzy, co na nowy rok litografują się ozdobnie i z emblemami — każdy bawi się w literata – a każdego lube kołyszą nadzieje, że przecież Polacy przezwyciężywszy wstręt do literatury, wezmą się do czytania.

Na tym to podobno gruncie rozbujałych fluktów, jak mawiał ś. p. biskup warmiński — z nowym rokiem pocznie swój żywot mnóstwo pism i pisemek, które oby swój żywot do późnego wieku przetrwały — daj Boże.

Ciekawa przecież byłaby scena, gdyby wśród téj gonitwy za zwodniczą marą sławy i mamony — zapytano kogo jak w owéj bajeczce — a dokąd dążycie? ręczę że nie jeden z Autorów i Redaktorów byłby w niemałym kłopocie, co na to odpowiedzieć. — Zdarzało się bowiem, że dopiero po wydrukowaniu i rozesłaniu prospektu radzono nad *celem* i programem pisma, i podobno do dziś dnia kwestja ta czeka jeszcze załatwienia, a zdarzało się i tak nawet, że jeden z poetów był w niemałym kłopocie czy od pierwszéj, czy od ostatniéj zwrotki drukować ma swój poemat, czemu przez koleżeństwo i solidarność — nie wierzymy.

Jednakże jeżeli Bolesławita zechce nas jeszcze *porachować* na rok następny, podobno nie najwygodniéj nam będzie na ławie oskarżonych o zamach stanu na rozum ludzki.

Cokolwiekbądź, raptowna owa emigracja parnasowych znakomitości na padoł galicyjski, zapowiada jeżeli nie nową erę, to przynajmniéj nowy perjod w historji naszéj, o którym zapewne potomni wspomną w swoich kronikach. A pisząc o tém wszystkiem co się działo, niezapomną pewno napisać i o teatrze lwowskim, który ma to do siebie, że potrafił przywiązać duszą i ciałem do swoich dochodów p. Miłaszewskiego.

A propos teatru lwowskiego, niewiem zkąd przyszła mi na myśl ta niefortunna uwaga, że wszystkie sprawy publiczne w tym roku, nie szczególnym szły torem — gdyby tak daléj iść miało broń Boże... ale miejmy nadzieję.

☛ Do dzisiejszego Numeru dołączają się listy zwrotne.

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

W drukarni „Czasu" W. Kirchmayera. Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*